

a było ich mnóstwo, bo do Carrazia zjeżdżało na „czarną“ pół high-life'u Centralopolis.

Stamtąd uwiózł ich szykowny powozik Djany w aleję „Wiosennego Flirtu“, gdzie, codziennie aż do zmierzchu w wiosennym i letnim sezonie grają na estradach orkiestry, a w cienistych altanach wzdłuż alei czają się kolorowe chińskie kawiarnie, gdzie tańczą z szelestem gejsze za ogromnymi, szklanymi szybami, a drobne, klaskające sandałkami Chinki roznoszą rzeźwe napoje między stoliki.

Ale największą sensacją alei „Wiosennego Flirtu“ jest „Corso powozów“, w którym bierze udział kożuszek śmietanki stolicy. Lśniące, uroczyście karety z ognistą czworką w zaprzęgu, podłużne, wąskie landeau'a, wytworne powozy arystokratycznych kurtyzan, dwukolne trójki oficerów i ciągnięte przez „rikszów“ pojazdy Chińczyków mijają się tam jak dwie barwne wstęgi. Śmiech, gwar, tupot konskich kopyt i szmer gumowych kół na gładkim asfalcie zlewa się w jeden odurzający, melodyjny hałas. Krzyżują się ogniste spojrzenia, powitania i odpowiedzi, kwiaty rzucane drzew wesołych dżentelmenów obsypują barwnym deszczem kobiety, szalony bez troski flirt łaskota serduszką i krew burzy, zapalając je do rozpustnych figlów Erosa.

Djana drgnęła i prawie stanęła w powozie. Oto człowiek, który ją zainteresował... Przejeżdża w dużej odkrytej karecie. Wskazuje go Henrykowi:

— Kto to?

— To jest George Borghe, sławna figura — tak zwany Wielki Detektyw. Niebezpiecznie z nim zadzierać, bo to szef wszystkich władz bezpieczeństwa publicznego. Radzę pani, miss Djano, niechaj mu pani rzuci bardzo łaskawe spojrzenie.

Mijał ich właśnie. Był to wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna w sile wieku, o dziwnie ostrem, przeszywającym na wskrós spojrzeniu i czole pociętym grubymi zmarszczkami. Na skroniach siwy włos wił się między czarnymi jeszcze pasmami. Mister Borghe spojrzał powoli na Djane, która aż zadrżała pod potężną przewagą tych oczu.

Powozy minęły się.

Djana wychyliła się za nim z powozu.

Tymczasem ekwipaż stanął nagle przed „Domkiem fioleto-owych kotów“ i Henryk pomógł towarzysze wysiąść, prowadząc ją do wnętrza lokalu.

Ostre, elektryczne światło zalało ich oślepiającą falą. W kawiarni-kabarecie panował nieopisany zamęt. Ludzie mrowili się w tumanach dymu cygar i papierosów, szalony „jazzband“ orkiestry głużył gwar huczący od setek „jętych“ przez publiczność stolików, na estradzie biły hałaśliwie w tamburina tańczące bajadery. Kelnerzy raptownie przelatywali we wszystkich kierunkach, jak czarne widma, żonglując tacami pełnymi potraw i napojów nad tłumem. W skocznych pirmetach uwijali się mali „piccolo“ z szampanem. Co chwilę gong dawał znać, że oto na estradzie rozpoczyna się nowy „numer“.

Djana i Henryk pili wino, flirtując na zabój, porwani zawrotną gorączką Kaffehouse'u. Czasem tylko w błyskawicznym skrócie przelatywała jak ptak przez główkę „miss Diabelli“ myśl o niedobrym Edgarze, który zapodział się gdzieś tak niezrozumiale i dziwnie — i zmusił ją do tej miłej, bardzo zabawnej zemsty w towarzystwie młodego, przystojnego chłopca o błękitnych źrenicach.

Na estradzie jakiś indochiński linoskok tańczył szalony, nieludzko zwinny taniec na bambusowych trzcinach, żonglując jednocześnie 12-tu balonikami, które czyniły żółto-złocistą aurołę wokół jego głowy.

Djana raz po raz napełniała pusty kieliszek.

ROZDZIAŁ III.

Porwanie.

Po porannej rozmowie z Djaną — o godz. 11 tej rano pan Edgar Smith wyszedł z bramy domu. Auto czekało. Zapiął rękawiczki i rzuciwszy szoferowi adres rozsiadł się wygodnie. Kryta limuzyna chroniła go od pyłu ulicy i nieznośnej wrzawy przelewającego się strumienia aut, powozów i tramwajów płynących z prądem ulicznego ruchu, jak rozdzwonione, dziwaczne pudła.

Auto minęło ludną dzielnicę bankową zabudowaną szeregiem olbrzymich, monumentalnych gmachów, szybko przebyło nadrzeczne „Bulwary zwyżstwa“ i skręciwszy na kryty most „prezydenta Creege'a“ wyjechało na rozległy „Plac Katedralny“ okrążając okrągły kłęb zieleni na środku.

Wtem przykra niespodzianka...

Auto staje. Coś się popsło w motorze.

— Oho, stop! — mruknął niezadowolony Smith... — Jackie, cóż się tam stało? Czy wnet będziesz gotów?

Szofer oglądał defekt i rozłożył ręce bezradnie.

— Ależ do diabła, ja nie mam czasu! — irytował się Smith wysiadając.

Tymczasem już podjechała i stanęła obok elegancka limuzyna, której szofer zapraszał Edgara do wnętrza. Wsiadł natychmiast, zatrzasnąwszy drzwi, a równocześnie wóz ruszył z miejsca drugą szybkością.

Na wsiadającego Smith'a spadł wewnątrz pojazdu jakiś ciężar olbrzymi, ogłuszył go i ubezwładnił poczem jakieś sprawne ręce związały go i obmotały głowę szmatą.

Wóz skręcił w jakieś zamorusane mroczne zaułki i gnał przez brudne, obdrapane ulice portowej dzielnicy. Smith nie

pamiętał, choć ocknął się zaraz z oszołomienia, jak długo jechał i nie zdawał sobie sprawy, jaką obrał drogę. Wpadli w długi, ciemny pasaż, coś jakby tunel, poczem na źle brukowane, wyboiste podwórze otoczone ze wszystkich stron kolosalnymi, wielopiętrowymi ścianami kamienia.

Kilku silnych, barczystych mężczyzn podbiegło do wozu i wyprowadziło zeń opierającego się więźnia. Wiedli go gdzieś po jakichś zakazanych schodach do góry i na dół, poczem wpełnili widocznie do windy, bo lekkie wstrząśnienie i ciche unoszenie się w górę... Jeszcze jeden długi korytarz i stopy jego poczęły stąpać po miękkim, puszystym dywanie. Zdjęto mu z głowy opaskę. Przetarł oczy i spojrzał dokoła. Był w obszernym jakimś, urządzonym z gustownym przepychem gabinecie.

Za biurkiem stał dziwny, nieznany mu jegomość, wysoki, zbudowany świetnie, choć niezbyt rozrośnięty, o niezwykle inteligentnym, wyrazistym obliczu, na którym oczy płonęły jak lampy, wpijając się swym ostrym blaskiem w mózg patrzącego nań człowieka. Głowa podniesiona dumnie, ruchy energiczne, zwinne i szybkie, jak ruchy dzikiego kota.

Człowiek ten spojrzał na Smitha i uprzejmym gestem zaprosił go, by usiadł.

— Kto pan jesteś? Co to ma znaczyć? — odezwał się podniesionym głosem Smith. — Kto panu dał prawo do pozbawiania mnie wolności osobistej? Proszę natychmiast wyjaśnić mi cel tej ordynarnej napaści, jakiej padłem ofiarą.

— Panie Smith...

— Pan zna moje nazwisko, ale ja nie wiem, kto pan jesteś! Czy nie uważa pan za stosowne...

— Aha, przedstawić się. Ależ zaraz, na wszystko będzie czas, mój panie.

— Dość tych żartów.

— Spokojnie, tylko spokojnie kochany panie Smith. Bardzo pana przepraszam, że w tak przykrych okolicznościach zawarliśmy znajomość, ale zaręczam panu, że to było konieczne. Zaraz wyjaśnię panu jądro sprawy...

— Słucham.

— Niech pan usiądzie. Mamy czas...

— Ja go nie mam wiele...

— No, to — wyrażmy się ściślej: musimy mieć czas. Tymczasem może pan pozwoli cygaro...

Usiadł. Smith siłą woli uspokoił wzburzenie i chwycił w pętlę skupienia rozdygotane nerwy. Zapalił podane cygaro i puszczając srebrne kółka dymu słuchał...

Tajemniczy osobnik mówił:

— Nazywam się Bruno Brown. Ale to nie należy do rzeczy. Pracuję w branży filmowej, jestem uczonym i znawcą tej sztuki, a zarazem reżyserem, bardzo dobrym reżyserem, niech mi pan wierzy — panie Smith. Moja ojczyzna jest bardzo daleko stąd, na Dalekiem Południu. Posiadam genialne zdolności. Niech pan tego nie bierze za pustą, czerzą pochwałkę. Jestem geniuszem filmu, wiem o tem i pan sam przekona się o tem naocznie i namacalnie.. Jestem twórcą kolosalnego przewrotu w naszej sztuce. Mam tu na myśli kolosalny, niezwykle, fenomenalny wprost wynalazek, którego następstwa nie dadzą się wprost obliczyć.

Smith patrzył na niego szeroko rozwartymi oczyma. Zdało mu się, że ta potężna głowa urasta przed nim do potwornych rozmiarów, że przez przejrzystą powłokę czaszki fosforuje jego mózg, płonie jak lampa i zwolna rozżarza się do białości, porażając jego źrenice nie do zniesienia natężonym blaskiem. Oczy bolały go, czuł dziwne znużenie, zapadał w jakiś stan błogiej apatii i słuchał czujnie, nie mogąc oderwać oczu od tej płonącej głowy.

Brown mówił dalej niskim, przytłumionym głosem.

— Chcę stworzyć filmy nowe, obrazy jakich świat nie widział i nie wyobrażał sobie dotychczas. Pan — tak! proszę nie kręcić głową, — pan jest mi do tego bezwzględnie potrzebny. Edgar Smith, chluba kinematografii, mistrz przesubtelnej, nerwowej gry i entuzjastycznej, kochanej filmowej sztuki musi, poprostu obowiązany jest mi dopomóc. Idąc ręką w rękę, razem, osiągniemy rezultaty o jakich pan nie śnił, panie Smith, w najśmielszych marzeniach i wizjach o rozwoju filmowej sztuki. Oto mój wynalazek...

Wyjął z małej, stalowej kasety dużą kulę kryształową napełnioną przeźroczystym, błyszczącym płynem. Podsunął ją tuż ku oczom Smith'a.

— Oto jest mój płyn hipnotyzujący. Słuchaj pan uważnie i chciej mnie zrozumieć. W tym lśniącym, bezbarwnym płynie tkwi moc olbrzymia. Wywołuję w nim wytwarzane przezemnie filmy, kąpiąc taśmę przez 20 godzin, aż do zupełnego przeziaknięcia jej tą dziwną substancją. Obrazy rzucone przez nią na ekran będą działać na widza w tak nieodparty, sugestywny sposób, że wpiją mu się, wessają w mózg i przeniosą go na zawsze ze świata rzeczywistości w świat dziwnej, nierealnej, tajemniczej filmowej baśni. Ludzie poczną grać, stwarzać sytuacje nowe, barwne i niezwykle, awanturniczą poezją kina zapanuje nad światem. Glob stanie się feerią, legendą z „ty-siąca i jednej nocy“ i wyrwie się z brudnych powijków nędznego materializmu. Nastąpi ogólny, masowy obłęd pod wpływem kina, a życie ludzkie ułoży się na podobieństwo widzianych na ekranie obrazów. A obrazy te będą piękne, genialne, straszliwe. A ponad wszystkim stanę, jak nowy Lucifer ludzkości ja „Demon Filmu“, współczesny Mesjasz i pokieruję losami ziemi tak, jak mi podyktuje potężna, elektryczna machina mego mózgu... (Ciąg dalszy nastąpi).